

Czy Leda może zjeść łabędzia?\*

\* Tekst stanowi zapis wykładu wygłoszonego 28 maja 2014 roku na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

Poproszono mnie, żebym powiedziała co nieco o syrenach, o ich występowaniu w literaturze i życiu, ale nie zrobię tego: skutecznie paraliżuje mnie nie tyle drugorzędna w sumie wątpliwość, czy syreny są, ile pytanie, czym są. Sama bym go sobie zresztą nie zadała, ale moja córka spytała ostatnio, czy syreny są ssakami. Użytkowa – i nie tylko w sensie reklamowym – wartość piersi kobiecych, rozstrzygająca o tym, że człowiek jest ssakiem, ta funkcja, którą osobiście cenię sobie po granicy fetyszycacji, jakoś w moim pojęciu nie pasuje do syren. Trudno mi sobie wyobrazić na przykład karmiącą madonnę El Greca z rybim ogonem. El Greco przyszedł mi do głowy z powodu głębinowej kolorystyki i pionierskiego podejścia do problemu sztucznego światła: zakładam, że tam, gdzie żyją syreny, światło może być bądź sztuczne, bądź żadne, i gdybym miała gdzieś szukać wyobrażeń syren lub kryptosyren, to wśród dzieł mistrzów monochromatycznego luminizmu, nawet jednak tam nie szukałabym syren karmiących piersią. Potknąwszy się więc na taksonomii, a właściwie etymologii jako podstawie taksonomii, wybieram stworzenie, co do którego tożsamości nie muszę mieć specjalnych lęków: jest to łabędź. Łabędź jest drobiem.

I tylko pozornie na chwilę od łabędzia teraz odejdę. Termin *comfort food* ma stosunkowo długą tradycję. W słowniku Webstera zagościł trzydzieści siedem lat temu i oznaczał tradycyjnie przygotowane potrawy odwołujące się do nostalgicznych i sentymentalnych wspomnień. W skrócie: jedzenie na pocieszenie. Od 1977 roku obrósł w doprecyzowania: narodowe, ale też psychologiczne i genderowe. Wykazano, że mężczyźni w kryzysie zazwyczaj wybierają gorące posiłki mięsne bądź oparte na mięsnych wkładkach zupy, kobietom natomiast częściej zdarza się skłonność – choć nie dominuje ona – do słodkich przekąsek. Inna rzecz, że to kobiety, zdaniem psychologów, są odpowiedzialne za włączenie do teorii jedzenia na pocieszenie kompletnie z nią niewspółgrającego poczucia winy i wstydu, związanych paradoksalnie z konsumpcją właśnie owego mającego pocieszać jedzenia. Moim zdaniem jest to wystarczający powód, żeby kobiety jedzące w stresie czekoladę zwyczajnie z tego wywodu wyłączyć, chyba że jest to gorzka czekolada we własnoręcznie przygotowanym chili con carne.

Przez ostatnie czterdzieści lat doprecyzowano również pojęcie *comfort food* w sensie biochemicznym: od jakiegoś czasu uważa się, że to wysoka zawartość węglowodanów sprawia, że *food* jest jeszcze bardziej *comfort*. To może być przykry znak ery prozaku, gdy zakładamy, że pocieszenie nie tylko musi być natychmiastowe, ale w dodatku może być też nietrwałe. Radość, jaką odczuwa mózg z talerza makaronu, jest, owszem, euforyczna i wizjonerska, ale krótka. Nie zmienia to faktu, że tradycyjne pojęcie wielu kultur o jedzeniu, które może dać pocieszenie, coraz bardziej odbiega od obecnie lansowanej pod hasłem *comfort food* węglowodanowej tyranii.

Kiedy bowiem przyjrzymy się porównawczo jadłospisom różnych krajów, w części odpowiedzialnej za zwalczanie chandry, egzystencjalnej pustki czy też rozpacz o nierozpoznanej etiologii nieodmiennie znajdziemy drób, który sam z siebie węglowodanów zawiera raczej niewiele. Polski rosół, czyli żydowska penicylina, jako *chicken soup* stanowi filar segmentu *comfort food* w Australii i Nowej Zelandii, jako *chicken noodle soup* w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. *Chicken sopas* pocieszają Filipińczyków, Szkotom pomaga kurczakowa zupa pod postacią *cock-a-leekie soup*, wersji z porami i niekiedy ryżem. Narodowe szkockie danie oryginalnie jest zresztą wariantem francuskiej zupy cebulowej, co nie zmienia faktu, że przepis z porami po raz pierwszy wydrukowano w 1598 roku, więc jeśli chodzi o uruchamianie pokładów nostalgii i sentymentów, to ta zupa zdecydowanie ma co uruchamiać (tylko dla przypomnienia powiem, że po 1598 roku w historii Szkocji miały miejsce takie nostalgiczne wydarzenia, jak: rzeź w Glencoe, katastrofa mostu nad Tay i zamach nad Lockerbie). Podobnie częste – również w sensie geograficznym – jest zaufanie, jakie ludzkość pokłada w drobiu pieczonym. *Roast chicken* pociesza mieszkańców Antypodów i Brytyjczyków, ale jest też znakomicie obecny w kuchni azjatyckiej, a przede wszystkim w wersji tej kuchni przykrojonej na rynek europejski. Jeszcze nie tak dawna popularność przeróżnych „chińczyków”, w sensie geopolitycznym będących zresztą zazwyczaj Wietnamczykami, brała się, moim zdaniem, z niesłychanego potencjału łągodzenia emocjonalnych napięć, jaki ma w sobie kurczak w cieście. Pamiętam zresztą okres w historii tej gałęzi środkowoeuropejskiej gastronomii masowej, gdy kolorowe gazety próbowały nam od czasu do czasu wmawiać, że to nie kurczak, tylko pies, i nie przypominam sobie, by hormonalna odpowiedź mojego udręczonego wiecznym stresem organizmu na tego, dajmy na to, nawet psa była mniej skuteczna niż na prawdziwego kurczaka. Oczywiście dopóty, dopóki nie dopuściłam do siebie na serio myśli, że to może być pies.

Dość przypomnieć przynajmniej dwa słynne obrazy z europejskiej literatury, na których drób wyrasta na centralną, mityczną,

wszelkie wokół siebie życie z jego aktywnościami organizującą postać. Pierwszy pochodzi z *Opowieści wigilijnej* Dickensa. Prawdopodobnie wszyscy znamy tę scenę, gdy odmieniony Scrooge dokonuje po swoim przemienieniu swoistego *coming outu* za pomocą aktu konsumpcjonizmu – wysyła przechodzącego ulicą chłopca po „tego wielkiego indyka, który wczoraj wieczorem jeszcze wisiał w oknie wystawy”. Są święta Bożego Narodzenia, indyk jest zakupem, zgadza się, naturalnym. Trochę może dziwić, że poprzedni, zły Scrooge w ogóle zwrócił na niego uwagę – i to, że nowy Scrooge bez zażenowania przyznaje, że i w życiu starego Scrooge’a indyk był symbolem na tyle potężnym, iż w całej swojej nienawiści do tego, co ptak symbolizował, nie miał bohater tej nienawiści wystarczająco dużo, by skutecznie wyprzeć do podświadomości fakt, że tego indyka rozpaczliwie pragnie, choćby po to, by postać go następnie swojemu mającemu kochającą rodzinę i bardzo chorego synka Tima kanceliście.

Inna rzecz, że ciekawy jest sposób, w jaki Dickens wprowadza indyka: jego pierwsze pojawienie się w tekście uszczęśliwiłoby współczesnych zwolenników węglowodanowej, czyli cukrowej, teorii *comfort food* wraz z jej kobiecym, opartym na winie, wstydzie i czekoladzie, odłamem. Wśród prezentów, jakie dostają dzieci niedosłej partnerki życiowej głównego bohatera, w wizji, którą ma dla Scrooge’a pierwszy z duchów, znajdują się mebelki dla lalek: „Jakąż rozpacz wywołało przypuszczenie, że jedno z dzieci, wzięwszy do ust maleńką brytfannę z kuchni dla lalek, połknęło znajdującego się w niej indyka z cukru... Jaką ulgę uczuli wszyscy, gdy okazało się, że to był fałszywy alarm...” – opisuje tę scenę Dickens. Maleńki cukrowy indyk urośnie wraz z procesem nawracania się głównego bohatera do rozmiarów giganta z wystawy, którego nie sposób przeoczyć, ale rósł będzie stopniowo, będąc między innymi częścią w dużej mierze drobiowego świątecznego bufetu w kolejnej wizji. Narośl na końcu nosa, o której Dickens pisze, że przypominała korale indyka, jest zaś atrybutem mężczyzny, który w jednej ze scen, ukazanej Scrooge’owi przez ducha świąt przyszłorocznych, a więc dla bohatera potencjalnie ostatecznych, dzieli się ze swoimi towarzyszami ciekawością, co denat zrobił z pieniędzmi. Nie jest więc, jak widać, indyk symbolem tak niegroźnym i jasnym, jak mogłoby się wydawać, a mnie osobiście niepokoi komentarz narratora, że „trudno było wprost uwierzyć, żeby tak wielki i ciężki ptak mógł się utrzymać na własnych nogach”. W tym przypadku chodziło prawdopodobnie o podwójnie pożyteczny literacki efekt uwydatnienia: z jednej strony nowej, hojnej osobowości bohatera bez zbędnego gadania o tym, jaka ona jest nowa i hojna (tym bardziej że w samym finale bez opisowych, moralizujących dosłowności się jednak nie obyło), z drugiej – komizmu, gdy dla ptasiego

truchła trzeba wezwać dorożkę. We mnie jednak to zwątpienie w naturalną motorykę potwora wyrosłego, przypomnijmy, z cukrowego gadżetu, budzi przecucie, że mam do czynienia z czymś kosmicznym albo też religijnym, albo i to, i to.

Religijna jest zdecydowanie scena z tekstu Andersena (w przekładzie Cecylii Niewiadomskiej): „Dziewczynka zapaliła drugą [zapałkę] bez namysłu. Jasne światełko padło na mur szary, który w tym miejscu stał się przezroczysty, niby muślin cieniutki. I ujrzała w głębi duży, jasny pokój, stół nakryty czystym, bielutkim obrusem, na nim talerze, szklanki, a na samym środku ogromna gęś pieczona na półmisku, pachnąca, nadziewana jabłkami, śliwkami. Gęś poruszyła się nagle, zeskoczyła na ziemię z nożem i widelcem w zarumienionej piersi i zaczęła posuwać się w stronę dziewczynki”. Uprzednio pierwsza zapałka ukazuje dziewczynce płonącego piec, w którego ogniu przez chwilę może się ona ogrzać, a mnie, pełnym desperacji, a także irracjonalnej w sumie wiary sposobem, w jaki zostaje przez dziewczynkę użyta, przywodzi na myśl fragment sekwencji *Stabat Mater*:

Fac ut ardeat cor meum  
in amando Christum Deum,  
ut sibi complaceam.

Przełożona przez Białoszewskiego „Chrystusowe ukochanie niech w mym sercu ogniem stanie, krzyża dzieje we mnie wtul”, a przez Staffa „Niechaj serce moje pała, By radością mą się stała Miłość, którą – Chrystus Bóg” strofa ta jest, jak pierwsza zapałka dziewczynki z zapałkami, aktem strzelistym, w którym wyraża się nie tyle miłość, ile pragnienie miłości, miłości, którą opisuje się fizykalnie – bo jak inaczej – za pomocą takich parametrów, jak temperatura (wysoka) i stan skupienia (plazma, czyli najbardziej tajemniczy ze wszystkich stanów skupienia, ten, z którego zrobione są gwiazdy). Jeśli zaś gęś, która zdecydowanie martwa, przebita nożem i widelcem zeskakuje z odświętnego, do złudzenia przypominającego ołtarz stołu i posuwa się w stronę bohaterki, nie miałyby być w jakiś sposób figurą Chrystusa, to ja już nie wiem, czym mogłaby być.

Wróćmy teraz do Ledy. Żeby z grubsza przypomnieć sytuację, w jakiej ją jeszcze w okolicach tytułu zostawiliśmy, posłużę się wierszem W.B. Yeatsa w przekładzie Stanisława Barańczaka *Leda i łabędź*. Wierszem, a nawet sonetem:

Spadł na nią nagłym ciosem: nad oszołomioną  
Trzepot ogromnych skrzydeł, kark w twardym uchwycie

Dzioba, uda pieszczone łap czarniawą błoną,  
Pod jego piersią – serca jej spłoszone bicie.

Jakże mają jej palce paniczne i błędne  
Odepchnąć od słabnących ud pierzastą chwałę?  
Jak ciało, przygwożdżone obcym serca tętnem,  
Umknąć ma przed naporem piersi śnieżnobiałej?

Dreszcz lędźwi w jednej chwili łono jej zapładnia  
Zwalonym murem, dachem płonącym i wieżą,  
Śmiercią Agamemnona. Przebita tym dreszczem,

Pod dziką krwią powietrza uległa, bezwładna,  
Czy razem z jego władzą przyjęła i wiedzę,  
Zanim zobojętniały dziób puścił ją wreszcie?

Prefiguracyjnie biorąc, Leda dla Yeatsa jest Marią, zapłodnioną przez – co prawda innego – Boga, jakiś czas później i z innymi efektami (tutaj wojna trojańska, tam koniec przedchrześcijańskiego świata), ale gratyfikowaną podobnie: również Marię za jej udział w kształtowaniu się historii wynagradza się wiedzą. W oryginale początek jest nieco bardziej i pneumatyczny, i pneumatologiczny zarazem: „a sudden blow” został przez Barańczaka przełożony jako „nagły cios”. Gdyby udało się zachować to znaczenie związane z podmuchem czy wianiem, już w dwóch pierwszych słowach mielibyśmy zestawione nie tylko te dwie kobiety, Ledę i Marię, lecz także filozofię grecką z chrześcijańskim wyobrażeniem o Duchu Świętym, a potem z dwudziestowieczną filozofią dialogu. W jaki sposób to podobieństwo pomoże Ledzie zjeść łabędzia? Dzięki matematycznej metodzie modelowania, a dokładniej, w tym konkretnym przypadku, dzięki odwróconemu modelowaniu.

Nie wiem, czy odwrócone modelowanie istnieje. Niewykluczone, że jest to moja autorska, mocno niedoskonała metoda, będąca czymś w rodzaju objawu zespołu Aspergera dokładnie tak samo, jak objaw brudnych kolan może świadczyć o niedoczynności tarczycy. Modelowanie matematyczne, jak wszyscy prawdopodobnie wiemy, to opisanie za pomocą języka matematyki zjawisk nie do końca matematycznych: biologicznych, ekonomicznych, jeśli ekonomicznych, to i społecznych i tak dalej. Matematyczne modele tworzy się po to, żeby zrozumieć rzeczywistość, owszem, ale przede wszystkim, aby uniknąć wprowadzania w rzeczywistości zmian, których skutki nie są przewidywalne na pierwszy rzut oka, a tym samym bezpieczne (bądź bezpieczne dla tych, którzy wiedzą, gdzie jest schron). Z odwróconym modelowaniem mamy natomiast do

czynienia wtedy, gdy bierzemy rzeczywistość i badamy ją tak długo i na tyle sposobów, aż będziemy w stanie podać rozwiązanie równania, którym tę rzeczywistość chcemy opisać. Nie musimy chyba dodawać, że wyłącznie kwestią naszego widzimisie jest, co uznamy za rzeczywistość, a co za równanie.

Chcąc umożliwić Ledzie zjedzenie łabędzia, który ją zgwałcił, w pierwszej kolejności uczynię ją bohaterką mojego równania, tym samym Marię stawiając po stronie rzeczywistości i jako rzeczywistą poddając badaniu. Koniec przedchrześcijańskiego świata, który w swej istocie jest zwiastowany przez Zwiastowanie, to początek ery kłopotliwych prezentów (skoro Maria jest „pierwszą obdarowaną”) – sakramentów, z sakramentem Eucharystii na czele; część chrześcijan podchodzi do większości z nich, jak wiemy, z rezerwą lub nakłada na przyjmującego sakrament pewne synergizujące wymogi. Sposób, w jaki sakramenty – w tym Eucharystii – działają, na szczęście nie ma dla Ledy znaczenia, istotny jest sposób podania.

„Ciało moje jest prawdziwym pokarmem, a Krew moja jest prawdziwym napojem. Kto spożywa moje Ciało i Krew moją pije, trwa we Mnie, a Ja w nim. To jest chleb, który z nieba zstąpił – nie jest on taki jak ten, który jedli wasi przodkowie, a poumierali. Kto spożywa ten chleb, będzie żył na wieki” – ten, jeden z podstawowych dla dogmatu o transsubstancjacji tekstów znajdziemy w Ewangelii św. Jana. *Nota bene* warto zauważyć, że w sensie dosłownym zdecydowanie jest w tym tekście mowa przede wszystkim o węglowodanach. Krew, w pewnym sensie, jest, owszem, koktajlem proteinowym, ale już wino, które procesem transsubstancjacji jest wraz z chlebem objęte, to czysty cukier. W Przeistoczeniu bierze udział cukier.

Rzeczywistość, w której Maria otwiera erę dostępności sakramentu Eucharystii, nie jest rzeczywistością, w której sama z sakramentu korzysta, dlatego aby w ogóle myśleć o analogii między Ledą a Marią w odniesieniu do tej pierwszej pokarmowych dylematów, trzeba powołać się na przykład na Edytę Stein, która udowodniała, że Maria jest znakomitą matrycą, punktem odniesienia dla każdej kobiety. Jeśli uczyni się zastrzeżenie, że nie dla każdej, ale dla każdej poszukującej punktu odniesienia kobiety, to istotnie coś w tym jest. Statystycznie znakomita część kobiet pozycjonujących się względem Marii znajduje się w taki czy inny sposób w kręgu osób zainteresowanych – przez regularne przyjmowanie, ale i przez bycie z przyjmowania wykluczonymi na mocy kościelnych restrykcji – sakramentami, w tym Eucharystią. Mini-Maria, która z jednej strony miota się między *fiat* i nie-tak-całkiem-*fiat*, z drugiej zdarza jej się przecież przyjmować Boga pod postacią skrobiowego krążka, jest tym elementem rzeczywistości, któremu Leda już na

luzie może w moim równaniu odpowiedzieć. Z łabędziem problem będzie o wiele mniejszy: nominalnie był bogiem, biochemicznie składał się głównie z protein, jego zjedzenie przez Ledę z jednej strony wyjaśniałoby, dlaczego gdy przyszło do definiowania *comfort food*, oparto się głównie na drobiu, z drugiej prefigurowałoby Eucharystię jako najdoskonalszy rodzaj jedzenia na pocieszenie. Tak więc Leda może zjeść łabędzia. Pytanie tylko, czy chce.